

Górą łapiduchy

9 października 2017

Liberalny i lewicowy pięknoduch nie może nadziwić się, jak to możliwe, że mamy XXI wiek, cuda techniki, medycyny, rozkwit wiedzy wszelakiej, a w głowach rodaków Średniowiecze – modły o deszcz, stadiony dla uzdrowicieli „wskrzeszających” zmarłych, egzorcyzmy, gusła, obowiązkowe święcenie banków, mostów, wind, samochodów i kociej miski. Nie może zrozumieć, jak to się dzieje, że świat jest coraz bardziej globalny i otwarty, lecz Polska się na świat zamyka i tylko ten, kto tego nie chce, a dopiero zaczyna życie, ucieka z niej daleko. Zachodzi w głowę, jak wytłumaczyć dziwny fakt, że całe pokolenia jakoby śniły o wolności, „cała Polska” walczyła o demokrację (10 milionów solidarnych z rodzinami), a teraz połowa Polski demokrację przeistacza w zamordyzm, a połowa z drugiej połowy przyzwala na to biernością i obojętnością. Przecież mamy pluralizm i policentryzm, dlaczego więc zwycięża monizm i monocentryzm? Mamy trójpodział władzy, skąd więc się wzięła władza „w trójcy jedyna”? Mamy wolne wybory, dlaczego więc wynik przyszłych wyborów jest jakby z góry znany?



Gdyby przeczytali Gramsciego (lecz to właśnie ich przerasta, wszak to komuch), wiedzieliby, że władzę efektywną sprawuje ten, kto ma hegemonię ideologiczną. I dostrzegliby zawczasu,

że zrezygnowali z niej z góry na rzecz podmiotu, który włada duszami i w sprawach ostatecznych, i w sprawach powszednich. Panuje nad umysłami i sumieniami od kołyski aż po grób, od dawna rozszerzając swój wpływ-dyktat na wszystkie sfery życia zbiorowego i jednostkowego, na wzór średniowieczny właśnie.

Kto nie miał ambicji „rządu dusz”, ten rządzi tylko w takim zakresie i w takim kierunku, na jaki pozwala mu ofensywa „łowców dusz”.

KTO JEST „ŁAPIDUCHEM”

W żargonie potocznym, ale nie tylko podwórkowym i młodzieżowym, popularny był niegdyś termin ŁAPIDUCHY. Dziś jest w ogóle nieobecny albo zanika – z prostego powodu. „łapiduchy” wzięły już wszystko, co było do wzięcia, więc ich wszechobecność i dominacja uchodzi teraz za stan naturalny i oczywisty.

Łapiduchami nazywano kiedyś – przekornie – tych, którzy łowili „dusze”, na podobieństwo rybaków zarzucających gęste sieci lub myśliwych albo pasterzy wyłapujących wszystko, co się rusza. Związek między metaforą „duszpasterz” a epitetem „łapiduch” ze strony niedowiarka czy bezbożnika poirytowanego wszechobecnością i natręctwem kapłańskich „łowców dusz” jest nieprzypadkowy. W młodzieżowej gwarze łapiduchami nazywano kiedyś „kanarów”, czyli kontrolerów wyłapujących pasażerów na gapę. Teraz tak wprawdzie nie określamy, ale jednak tak postrzegamy natrętnych reklamodawców, domokrażnych sprzedawców i telefonicznych kusicieli. Oraz tych, którzy umożliwiają im ten proceder – firmy zajmujące się legalnie, i pokątnie pozyskiwaniem i sprzedawaniem danych osobowych, włącznie z najbardziej prywatnymi i intymnymi.

Ale w życiu publicznym termin ten to obrazowe, choć dość sprymitywizowane określenie celu i sposobu działania (zwłaszcza natrętnego, wścibskiego i obłądniczego) eksponentów różnych Kościołów, sekt, także świeckich grup ideologicznych

rozpłomienionych misjonarskim zapałem. „łapiduchem” jest ktoś, kto nie zadowala się rządem dusz w już istniejącej wspólnocie, ale nieustannie poszerza teren swych łowów na tych, którzy akurat nie oczekują posługi ani nawrócenia. Wypatruje, wynajduje i „dopada” osoby, które mógłby nawrócić, albo po prostu ochrzcić pokropkiem – np. półprzytomne i schorowane w szpitalu, albo i zmarłe, które jednak można doliczyć (zza dopłatą na tacę) do wspólnoty, do której nigdy nie należały lub którą opuściły.

Ten sposób działania może być – i bywa często, w Polsce nagminnie – zinstytucjonalizowany. Klerykalna ofensywa – obsługiwana przez potężną biurokratyczną machinę kościelną, ale i wspierana przez armię ochotników-dewotów – zmierza od lat do tego, aby wierni po wyjściu z kościoła funkcjonowali tak, jak gdyby byli w nim dalej, i aby ci, którzy do kościoła nie chodzą (niewierzący lub niepraktykujący), też funkcjonowali tak, jak gdyby zawsze byli w kościele.

Ślepotą polskiej klasy politycznej (tej centrowej i tej lewicowej lub niby-lewicowej, prawica konserwatywna i obóz wsteczności to inna bajka) właśnie na tym polega, że nie rozumie, iż kościelny rząd dusz, niemal monopol ideologiczny, nie może nie mieć konsekwencji dla poglądów obywateli i dla układu sił politycznych.

KRYTERIA I SYMPTOMY

„łapiduch” to oczywiście epitet, i to dość obelżywy. Nie odnosi się bynajmniej do wszystkich duchownych. Nie pasuje do tych – mniej licznych niestety – księży i zakonników, których znakiem rozpoznawczym jest takt, tolerancja, dialog, zdolność do współdziałania ze wszystkimi ludźmi dobrej woli działającymi w dobrej wierze na rzecz dobra wspólnego. I szokujące dla integrystycznych nienawistników przyjaźnie z ludźmi zdystansowanymi lub krytycznymi wobec kościoła, pozbawione natręctwa podszytego intencją nawracania za wszelką cenę i z zaskoczenia. Nie jest „łapiduchem” duchowny, który –

uznając za konieczną obronę uczuć religijnych swych współwyznawców – rozumie jednak i szanuje uczucia inaczej myślących.

Są jednak takie sytuacje i takie postawy, do których jak ułał pasuje ten niewybredny epitet. Oto przykłady:

Szkolny katecheta szczuje na dzieci nie uczestniczące w lekcjach religii i ich rodziców. A zarazem bezceremonialnie naciska na dyrekcję szkoły, by przycisnęła tych rodziców i te dzieci, bo psuje sobie ocenę wiadomo gdzie.

Proboszcz ubarwia swoje kazanie napiętnowaniem z imienia i nazwiska pary, która poprzestała na ślubie cywilnym, dorzucając komentarz o „karcie rowerowej”.

Pogrzeb osoby niewierzącej, która – świadoma i przytomna do ostatniej chwili życia – nie życzyła sobie ani przyjęcia sakramentów, ani katolickiego pochówku, odbywa się jednak „po bożemu”. To znaczy: ma miejsce uroczysta msza w intencji zmarłego, choć trumna stoi przed kościołem. Oryginalne uszanowanie woli i tożsamości nieboszczyka i w ogóle okazanie szacunku dla zwłok. Dzieje się tak bądź dlatego, że rodzinka wstydzi się przed proboszczem takiego wyrzutka i chce go udobruchać, bądź dlatego, że ta rodzina też jest religijnie indyferentna, ale nie chce mieć kłopotów i liczy się z tym, „co ludzie powiedzą”.

I jeszcze przykład postawy łapiducha wręcz chamskiej. Na cmentarzu pochowana została, bez żadnej ceremonii, nawet świeckiej, kobieta wprawdzie wierząca, która jednak dawno rozstała się z kościołem i nie zamierzała tego zmienić. A jej najbliższa rodzina (dzieci, zięciowie) to osoby niewierzące. Gdy jej syn zgłasza się do kancelarii cmentarza po jakieś zaświadczenie, słyszy od księdza zarządzającego nekropolią: „Pochowałeś matkę jak psa pod płotem, bo bez mszy i księdza”. Ciekawe, czy z taką kulturą „złowi” więcej dusz?

SKUTKI OPORTUNIZMU

Niebywała mieszanka krótkowzroczności, hipokryzji oraz zwykłej tępoty skłaniała polityków liberalnych, centrowych i tzw. pragmatycznie lewicowych do nadziei, że ustępstwo z modelu państwa neutralnego światopoglądowo na rzecz „szczególnej pozycji” Kościoła katolickiego może nie mieć skutków politycznych, i to jednoznacznych – w postaci postępującego zwrotu na prawo. Politycy ci łudzili się, a chyba nawet łudzą się nadal, że możliwa jest czysta rozdzielność między sferą światopoglądu jako sferą prywatną, wręcz intymną, a sferą polityki (w tym dążeń i programów politycznych oraz zachowań wyborczych) jako sferą publiczną. Kompletnie nie dostrzegały, że to, co uznawały za „umowę społeczną” konstytutywną dla liberalnej demokracji i wspólnoty państwowej przez dewotów, religiantów, klerykałów od początku było nieodwzajemniane.

Przypominało to takie zawieszenie broni, jak po pierwszej wojnie światowej stosunki między aliantami a Niemcami. Jedni ograniczyli zbrojenia, a drudzy – wręcz przeciwnie – zbroili się na potęgę, wygrali wyścig zbrojeń, zanim druga strona się obudziła. W czasie, gdy liberałowie i lewicowcy pielęgowali pluralizm światopoglądowy i obyczajowy, reguły tolerancji, relatywizacji wartości i poprawności, nurt klerykałny konsekwentnie rozwijał ofensywę. Amorficznej wspólnocie państwowej opartej na kompromisach ideowych, na poszukiwaniu wspólnego mianownika w demokracji, racji stanu, „europejskości” itd. przeciwstawił jednorodną wspólnotę wiary i emocji.

I najpierw okazało się, że ta zespolona jednorodność ma większą siłę przebicia niż kulturalna różnorodność, a z czasem, że ta jednorodność to większość – względna w sensie statystycznym, lecz bezwzględna w swoim natarciu. „Pluraliści” umieją dyskutować, negocjować, zawierać kompromisy, a integryści i fundamentaliści mają w nosie dyskusje, negocjacje i kompromisy; monolit idzie naprzód jak czołg, jak walec.

ZŁUDZENIA DEMOKRATÓW

Zakłamywany i zaślepiiony pragmatyzm elit partyjnych zakładał i w tym widział racjonalność swej kompromisowej, a w istocie oportunistycznej postawy, że Kościół jest przecież zróżnicowany. Są w nim wszak osoby światłe, otwarte głowy, duchowni umiarkowani obok „jastrzębi” i obskurantów. Przeoczono tylko, że ten podział nie jest tożsamy z równowagą sił. Dziś wyraźnie widać, że twarzą polskiego katolicyzmu nie jest Tischner czy nawet tak formalnie adorowany, a pokrętny Wojtyła, lecz Ojciec Rydzyk.

Inne złudzenie tych liberalnych i quasi-lewicowych pragmatyków polegało na przeświadczeniu, że „kościółek kościółkiem, a wybory wyborami”. A więc, że nie ma związku między przykładowym uczęszczaniem na nabożeństwa, instytucjonalnie podkreścanym rytuałem pielgrzymek zakładów pracy i grup zawodowych, zrostem uroczystości państwowych z mszą świętą a „wolnym wyborem” obywateli. Bo jakoby każdy obywatel „swoją rację ma”, będzie kierować się samodzielną oceną rzeczywistości, rozpoznaniem własnych interesów, takimi czy innymi poglądami. Otóż nie: nie każdy, i nawet nie większość. Większość wychowywana w autorytarnym wzorcu religijności (bo taki dominuje w polskim katolicyzmie) to konformiści i ludzie sterowni, a wśród wyznawców tym biernym i niedookreślonym wolę narzuca fanatycy.

Spójrzmy pod kątem wymogów edukacji obywatelskiej na katolicki model religijności, dodatkowo jeszcze bardziej konserwatywny i sekciarski właśnie w Polsce. Czy to model obywatelskości, czy też autorytarny wzorzec poddaństwa, w najlepszym razie klientelizmu? Czy w kościele i w szkolnej katechezie Polacy uczą się myśleć? Nie, wierzyć. Dyskutować? Nie, słuchać. Rozważać za i przeciw? Nie, czcić bezwarunkowo. Otwierać się na innych (praktycznie, nie w deklaracjach rytualnych)? Nie, utwierdzać się w poczuciu przynależności do wspólnoty lepszej i wykluczającej.

Znamienne jest, że ci sami pragmatycy wolą marketing i PR niż komunikację z obywatelami na płaszczyźnie ideowo-programowej. Uważają, że jest nudna i za wąska w zasięgu. Idee i ideowość

pozostawili „nawiedzonym”. Ukochali taktyki doraźne wycelowane w statystycznie zmienny elektorat, zamiast pracy organicznej zaadresowanej do trwałej bazy społecznej. W jakiejś mierze przy tej tradycji pozostało tylko PSL, ale na wsi z pomocą proboszczów zostało zjedzone przez PiS. W tym czasie po przeciwnej stronie wyrosły wspólnoty silnie emocjonalną zawartością i jednolitością, skupione wokół autorytetów – na czele z Rodziną Radia Maryja. Teraz „totalna opozycja” budzi się z ręką w nocniku, nadal nie wiedząc, czym skleić w jakąś całość sumę obywateli, gdy poczucie obywatelskości jest i nikłe, i wcale niejednoznaczne dla wszystkich.

Założenie, że Kościół (i szkoła zrośnięta z Kościołem) wychowa dzieciaki i dorosłych na porządnym ludzi i patriotów (bo katecheza jakoby jest tożsama z etyką), wyręczy w tym państwo i rodzinę, a partie pomiędzy sobą będą rozgrywać i rozstrzygać raz taki, a raz inny program i styl rządów, okazuje się funta kłaków warte. Nie da się pogodzić konstytucyjnego (ale zwłaszcza konstytucyjno-konkordatowego) wzorca demokratycznego państwa prawa i pluralizmu z praktyką państwa wyznaniowego. A jak dotąd historia nie zna państwa wyznaniowego, które byłoby liberalne, nie mówiąc już o lewicowym.

ASYMETRYCZNY MARIAŻ

Bankrutuje też – po stronie centroprawicowej – model „sojuszu tronu i ołtarza”. To jest taki sojusz – tak partnerski – jak swego czasu polsko-radziecki. Nawet średnio rozgarnięty obywatel RP widzi na co dzień i coraz częściej, że politycy – i jako kandydaci w wyborach, pretendenci do rządów, i wtedy, gdy już rządzą – zachowują się jak lennicy, wasale Kościoła, a co najmniej jak zakładnicy Ojca Rydzyka. Nie ma tu żadnej symetrii. Autonomiczny w stosunku do władzy państwowej jest i pozostaje Kościół – i to nie tylko w swym wewnętrznym funkcjonowaniu, ale i w swoich pretensjach do wpływu na życie polityczne państwa, do ingerencji w formalnie świeckie debaty, projekty i decyzje. Państwo natomiast nie tylko nie ma wpływu (choćby regulacyjnego, ograniczającego z zewnątrz) na

działalność Kościoła, nawet na styku tego, co państwowe i kościelne (przykład: programy „nauczania” religii i kwalifikacje katechetów), ale – co więcej, za sprawą dominacji polityków o mentalności dewocyjno-klerykalnej – utraciło własną „autonomię”, zostało skolonizowane przez Kościół. Co widać teraz gołym okiem.

STRUSIA PERSPEKTYWA

Naiwnym złudzeniem „światłych ludzi” w kręgach inteligenckich jest założenie, że indoktrynacyjny walec bogoojczyźnianej edukacji kościelno-szkolnej (a teraz i wojskowej) może być zrównoważony pluralizmem mediów, pluralizmem partyjnym, wychowaniem rodzinnym, wreszcie – zdrowym rozsądkiem ludzi, kumulowanym wraz z ich doświadczeniem życiowym. Jakby nie wiedzieli (także z własnych doświadczeń), że wychowanie rodzinne w niejednym domu staje się fikcją, a żadną alternatywą, gdyż nie ma tu miejsca rozmowa, refleksja, lecz „zastępuje” ją telewizor i komputer – a w nich niekoniecznie alternatywne czy pobudzające do myślenia treści. A pluralizm mediów (poza tym, że to nie zawsze wielogłos) polega na tym, że każdy czyta, słucha lub ogląda co innego, podczas gdy Kościół trafia do wszystkich.

Znikoma (jeszcze bardziej niż u liberałów) jest wiarygodność polityków i działaczy lewicy, którzy w sprawie wychowania nawet własnych dzieci i wnuków są konformistami. Udają, że nie ma problemu w rytualnym przymusie chrztu i ślubu kościelnego, w katechezie szkolnej albo też robią unik na własny użytek kierując swoje potomstwo do świeckich szkół prywatnych. Nie wiadomo tylko, co bardziej jest zaprzaństwem i brakiem pryncypialności: czy uniki i układność w publicznych wystąpieniach w sprawach światopoglądowych, czy też hipokryzja.

KALKULACJE KLERYKAŁÓW

Sternicy łapiduchizmu nie liczą na cud powszechnego, a

żarliwego nawrócenia zbłąkanych i krnąbrnych. Wiedzą, że wymuszenie jest wymuszeniem, że wymusza również mimikrę, symulację. Dobrze znają fenomen katolicyzmu selektywnego i niedzielnego, rozbieżność między rytuałami a praktyką ludzkiego postępowania. Ale wystarczy im, że nikt już nie będzie się „obnosił” z ateizmem czy agnostycyzmem w kwestiach wiary, że zdaniem odmiennym niż reprezentowane przez kościelne autorytety, że nikt nie będzie się chwalił dystansem, sceptycyzmem wobec dogmatów kościelnych lub mądrości biskupów, ani przyznawał do niepobożnych związków (znajomości, pokrewieństwa, przyjaźni, romansów, małżeństw). Niedowiarki mają się schować.

Wystarczy, żeby ci, którzy nie całkiem wierzą, jednak uczęszczali (na msze, spowiedzi i pielgrzymki), żeby chrzcili swoje dzieci i wnuki, a potem posyłali je na katechezę traktowaną jako oczywistość (a nie jako wybór, jeden z możliwych). A w miejscu pracy uznawali władzę kapelana, porównywalną z władzą niegdysiejszych komisarzy politycznych. Wystarczy taka atmosfera społeczna, w której „brak łaski wiary” traktowany jest może nawet nie wrogo, represyjnie, ale ze współczuciem i politowaniem – jak rozmaite dziwactwa, upośledzenia, choroby.

ROZWÓJ WSTECZNY

W polskiej transformacji niewątpliwie dokonała się rewolucja technologiczna, ekonomiczna i nawet ustrojowa. Ale ta ostatnia o tyle tylko, że „przewodnia rola” partii zachowującej monopol władzy została zastąpiona zmiennością konfiguracji partyjnych, że wybory – na razie – nie są fasadą ani formalnością. Nie dokonała się jednak rewolucja mentalna, chyba że za nią uznać konserwatywno-anachroniczną kontrrewolucję zwróconą przeciw liberalizmowi, który nie przyjął się jako wyznanie wiary mas.

W efekcie tkwimy po uszy nie we wzorcach kultury politycznej obywatelskiej, partycypacyjnej, deliberacyjnej – i jak ją tam jeszcze nazwiemy, zadekretujemy, ale w koleinach kultury

poddańczej i zaściankowej. Tego zdają się nie rozumieć elity liberalne czy liderzy lewicowego establishmentu, gdy liczą na to, że autorytarno-populistyczny porządek załamie się na zasadzie kompromitacji, a wtedy wystarczy po prostu przywrócić, nieco udoskonalić, mechanizmy demokracji liberalnej. Jak gdyby było to możliwe bez odzyskania „rządu dusz”.

Pokolenie, które wyrośnie w bogojczyźnianej szkole pod znakiem Radia Maryja i żołnierzy wyklętych i w kościele religii o tyle „katolickiej”, że katyńskiej, smoleńskiej i przedmurnej, jako żywo nie będzie bazą społeczną dla jakiegokolwiek demokracji, dla świeckiego państwa multi-kulti otwartego na świat. To pokolenie żyć będzie w Okopach Trójcy Świętej, oswojone jeśli nie z dyktaturą, to z autorytarnym paternalizmem.

Autorstwo: Mirosław Karwat

Zdjęcie: [paterdarius](#) (CC0)

Źródło: [Strajk.eu](#)